

Ucieczka od dolara?



W toczących się na każdym poziomie bojach o dominację nad światem ważnym frontem zmagają pozostaje polityka pieniężna. Dolar wciąż jest uniwersalną walutą. Dzieje się tak mimo kryzysu moralnego w USA, zapaści politycznej, dryfowania w sprawach zagranicznych, oraz poważnych kłopotów gospodarczych. Ameryka jest wciąż największą potęgą.

Naturalnie dolar ma konkurencję. Jeszcze jakiś czas temu wyglądało na to, że wszystkich zakasuje euro. Zapaść tej waluty i chroniczny kryzys na południu Europy oddalił na przewidywalny czas zagrożenie dla amerykańskich pieniędzy. Od czasu do czasu Chińczycy odgrają się, że ich renminbi (yuan) stanie się uniwersalnym środkiem płatniczym. Przyklaskują im naturalnie Rosjanie, oraz inni, których drażni Pax Americana i amerykańska supremacja.

Antagoniści Waszyngtonu podjęli ostatnio kolejne kroki w ramach projektu dedolaryzacji gospodarki światowej. Najpierw Gazprom zaczął się rozliczać w euro i renminbi. Szwajcarzy podłączyli się pod wymienne transakcje walutowe preferowane przez kraje BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i Republikę Południowej Afryki). Turcja odgraża się, że porzuci dolara. Aby uciec sankcjom, oligarchowie moskiewscy przetrzasnęli swoją gotówkę do banków w Hongkongu. I kilkanaście dni temu Moskwa i Pekin prawie zgodziły się wstępnie na rozliczanie obustronnych transakcji handlowych we własnych walutach. Na razie jednak przynajmniej 75 proc. wszystkich transakcji między Rosją a Chinami zawiera się w dolarach. Czyli jeszcze nie są w stanie przeprowadzić takiej operacji na większą skalę. Dlaczego?

Podobnie rzecz ma się przecież z pogrozkami stworzenia własnego banku inwestycyjnego przez BRICS, opartego na walutach tych krajów, zgadujemy, że głównie chińskiej i rosyjskiej. Dla niektórych to koniec Pax Americana. W rzeczywistości tak nie jest. Co najwyżej będzie współzawodnictwo, chociaż trudno sobie wyobrazić odtworzenie strefy niedolarowej, czyli autarkicznego RWPG. Kto by do niej przystąpił? Jasne, BRICSowcy mogą się rozliczać barterowo wewnątrz swego klubu, może namówić innych do barteru, ale nie ma jak dolar, który przecież pozostaje uniwersalną walutą ze względu na czołową pozycję gospodarczą USA na świecie.

Gadanie o „dedolaryzacji świata” trwa od dawna. Na razie jest tylko kilka symbolicznych gestów w tym kierunku. Takie dokuczanie Ameryce. Nie może być inaczej bowiem Chiny dźwierzają w swoich sejfach zgniłe jajo: miliardy dolarów długu amerykańskiego, który skrupulatnie skupują. I pożyczają Ameryce jak trzeba. Sytuacja jest patowa, co w dyplomacji nuklearnej nazywa się Mutual Assured Destruction (MAD). No bo jeśli padnie waluta USA, Ameryka zbankrutuje, to to samo stanie się z Chinami: ich zasoby walutowe (dolarowe) staną się bezwartościowe.

USA zresztą kontruują te trendy. Np. negocjują Transatlantyckie Partnerstwo Handlowo-Inwestycyjne (TTIP). Stronom zajęło ponad dwadzieścia lat, aby w końcu podjąć negocjacje. Nie będą one łatwe. Trzeba się zastanowić, czy chodzi o „pakt handlowy czy ograniczenie (containment) Chin.” Moim zdaniem chodzi i o jedno i o drugie. Ale pakt handlowy powstaje między partnerami, których systemy mają kłopoty z kompatybilnością. Z jednej strony Unia Europejska, która jest superpaństwem z superregulacjami, a z drugiej strony USA, które do niedawna były raczej wolnorynkowe.

Administracja Obamy pchnęła Amerykę w stronę Europy w tym sensie, że dołożyła do góry regulacyjnej całe Himalaje nowych przepisów. Rezultaty są swa: pozytywny i negatywny. Po pierwsze (pozytywny) mentalnie Waszyngton zbliżył się do Brukseli. Po drugie (negatywny) mamy do czynienia z próbą pogodzenia ze sobą dwóch zestawów sprzecznych i zawitych przepisów rodem z pajęczyny bizantyjskiej biurokracji. Negocjacje muszą potrwać aż strony zrozumieją o co w tych przepisach chodzi i nauczą się je godzić dla wzajemnej korzyści albo wyeliminują czy zawieszą te aspekty regulacyjne, które powodują zupełny paraliż negocjacyjny. Kompatybilność musi być, nawet jak systemy się różnią. Ponadto - poza interesami rządowymi - dochodzą interesy partykularne poszczególnych gałęzi przemysłu, a na końcu poszczególnych firm. Taki Microsoft czy Google mają Unii Europejskiej po dziurki w nosie. Ale jak pokazują doświadczenia negocjacji handlowych z Chinami i praktyki przedsiębiorczości zachodniej w Państwie Środka partnerzy z USA i amerykańskie firmy dostosowują się do pekińskich żądań szybko, albo nie są wpuszczane na tamtejszy „rynek.”

A Polacy? Powinni uczyć się, handlować ile wlezie, zająć się pośrednictwem, co jest najbardziej intratne, skoncentrować się na nowych technologiach, dbać o podstawy (energia i rolnictwo), oraz przede wszystkim inwestować w młodych inżynierów, informatyków i bankierów (matematyka!). Proszę pamiętać, że słowo capitalism pochodzi od słowa capita - głowa. Najważniejszy jest kapitał ludzki. Stypendia!!! Mogą być w zielonych.

Marek Jan Chodakiewicz

www.iwp.edu